

## Rozmyślania



## Domorośli tłumacze...

*Wakacje to naprawdę wspaniały okres w roku. Można odpocząć, wystawić białe ciało na rakotwórcze działanie promieni słonecznych, wyjechać do ciepłych krajów, nadrobić zaległości w czytaniu, obejrzeć zaległe filmy... Tak też postanowiłem zrobić w tym roku, tzn. zrealizować te dwa ostatnie elementy powyższej wyliczanki. Ponieważ nadmiar prac, którymi zostałem ostatnio obciążony nie pozwalał mi zagłębiać się w literaturze lżejszego formatu, postanowiłem przeczytać kilka takich książek, które przygotowałem sobie wcześniej. Filmów fabularnych też jakoś nie mam czasu oglądać, więc zrobiłem sobie listę i dalej za piloty od telewizora, dekodera, odtwarzacza CD i za książki.*

---

### Andrzej Dębowski

---

Oglądając kolejne filmy zaobserwowałem, że ten sam film, w różnych stacjach telewizyjnych jest inaczej tłumaczony. Świetny, historyczny obraz w reżyserii Rolanda Joffe *Misja*, inaczej ogląda się np. w TVN-ie, a inaczej np. w HBO. Zadałem sobie trud i obejrzałem także trzecią wersję – nagrałą na płytę CD, kupioną kiedyś w EMPIK-u. I jakie są wnioski?

Poziom tłumaczeń w Polsce budzi przerażenie – powiedział kiedyś w jednej z gazet Robert Stiller, znany tłumacz i publicysta. I ma rację. Najwięcej tych absurdalnych przekładów pochodzi z telewizji. Również ostatnio oglądałem starą, ale bardzo dobrą produkcję amerykańską w reżyserii i z główną rolą Clintona Eastwooda – *Wzgórze złamanych serc*. A dokładnie dwie jej wersje: pierwszą na kanale filmowym HBO, a drugą w Polsce i to jeszcze bardzo późno w nocy.

Ktoś mógłby powiedzieć, że coś ze mną jest nie tak, ale żeby mieć jakiegokolwiek rozeznanie, trzeba się poświęcać – dla dobra sztuki... (sic!).

Wersja pierwsza doskonale oddawała charakter tego męskiego filmu. Dobre, mocne dialogi, tłumaczenia bardzo dosłowne, często przekraczające dobry obyczaj, ale prawdziwe, nieudawane. Język taki, jakim posługują się żołnierze... Natomiast wersja druga, ta w Polsce, to po prostu coś żenującego. Jeśli ktoś boi się mocnych słów, to niech zrezygnuje z tłumaczenia czegoś, co wypacza cały obraz. Polsatowska wersja filmu, to jakiś koszmar, poczwara. Kto tłumaczył ten film? Przecież nawet średnio znający język angielski uczeń dostrzegł skandaliczne tłumaczenie filmu. Często używane w filmie słowo (fuck you), tutaj zostało tłumaczone raz jako (ojej), zaś kilka minut później jako (mam cię w dupie)... Najpierw śmiałem się do rozpuku, ale szybko mi przeszło, bo zrozumiałem, że to oszustwo najwyższej klasy. Podobne, jak to, kiedy pewien pisarz-tłumacz popełnił tłumaczenie opowiadania, w którym akcja działa się na budowie i zamiast skonstruować dialog między murarzami językiem soczystym, jeden do drugiego mówił: – Henryku, czy możesz mi podać kielnię!...

Osoby, które próbują uzurpować sobie prawo do miana tłumacza nie dość, że nie znają zasad języka polskiego, to jeszcze nie starają się zrozumieć kontekstu tłumaczonego dzieła, miejsca akcji, środowiska, w którym funkcjonują bohaterowie.

W Polsce pojawia się coraz więcej produktów anglojęzycznej kultury (książek, filmów), ale trudniej znaleźć dobre tłumaczenie. Popyt na przekłady z angielskiego znacznie przewyższył podaż. Tłumaczeniami zaczynają zajmować się więc krewni i znajomi wydawców, dystrybutorów, szefów stacji telewizyjnych. Niestety w Polsce nie wykształciła się klasa tłumaczy, którzy żyją tylko i wyłącznie z przekładów najwyższej próby. Tłumaczenie jest prawie zawsze działalnością dodatkową. Polski tłumacz to w głównej mierze wykładowca uniwersytecki, redaktor, student, a dopiero w następnej kolejności autor przekładu. Problemem nie jest wielość zainteresowań – w przeszłości nawet najwięksi polscy tłumacze imali się najróżniejszych zajęć – lecz ilość czasu poświęcanego pracy translacyjnej. Obowiązuje zasada: *Osiem książek w siedem dni*. Niewielka grupa dobrych tłumaczy zajmuje się przede wszystkim tłumaczeniem książek ambitnych, ale im bliżej tłumaczeń wytworów kultury popularnej, tym gorzej.

Przekłady fantastyki i horroru dawno zmieniły się w horror i fantazję przekładów. Niestety większość tłumaczy to miernoty, bądź zupełnie przypadkowi „przekładacze”, którzy chcą zrobić szybkie pieniądze. Bo, niestety, sama znajomość języka przy tłumaczeniach literatury pięknej nie wystarcza.

Ktoś mógłby powiedzieć, że literatura niskich lotów to margines literatury, więc nikogo nie musi boleć głowa o poziom tych – na poły grafomańskich – tekstów. Jest akurat odwrotnie. Literatura popularna – czy nam się to podoba, czy nie – jest po telewizji i prasie

najważniejszym wzorcem językowym wśród szerokich rzesz czytelników. Jeśli będą się oni wychowywać na popłuczynach po polszczyźnie, w przyszłości stopień zachwaszczenia języka zwiększy się jeszcze bardziej.

Pseudo-tłumacze stanowią jedynie pierwsze ogniwo łańcucha ludzi złej translacyjnej woli. Pierwsze nie oznacza ani jedyne, ani ostatnie. Za fatalny poziom tłumaczeń ponoszą winę w równym stopniu redaktorzy, jak i wydawcy. Tłumaczenie nigdy nie powstaje w próżni, jest przez kogoś zamawiane, oceniane, zatwierdzone. To właśnie redaktorzy i wydawcy zlecają, a później zatwierdzają tłumaczenia osoby, które biorą pieniądze za sprawdzanie tekstu, nie zawsze przykładają się do pracy. W niektórych wydawnictwach nie ma redaktorów, lecz menedżerowie projektu. Do redagowania zatrudnia się osoby z zewnątrz, często nie sprawdzonych debiutantów. Nie ma nikogo, kto spiałby pracę tłumacza, redaktora, korektora. Menedżer ma przecież tak dużo na głowie: znaleźć ludzi, wyegzekwować „produkt”, oddać go do składu, zamówić pstrokata, najlepiej kolorową okładkę.

Zastanawiające jest to, że niektóre wydawnictwa, wydające po kilkaset tłumaczeń rocznie, korzystają z usług kilku – lepszych i gorszych – tłumaczy przy przekładzie jednej książki. Dzieje się tak zawsze, kiedy trzeba szybko wydać bestseller, na podstawie którego powstał film, wchodzący właśnie na polskie ekrany. Nie ma więc czasu na poświęcenie większej uwagi zawartości merytorycznej „produktu”.

Jednak najgorzej jest chyba w sferze tłumaczeń współczesnej poezji. Tutaj to dopiero dochodzi do istnych – kuriozalnych wręcz – sytuacji. To, co wyprawiają „tłumacze”, to rodzaj jakiegoś szarlatania. Tłumaczą poezję ludzie, nieznający w ogóle języka, z którego dokonują przekładu. Wszystko odbywa się za pomocą koleżeńskich rozmów z autorami, którzy najczęściej sami ledwo znają język polski, ale za to polscy tłumacze (głównie z języków słowiańskich) wymyślają wręcz nieprawdopodobne strofy, które tak naprawdę nie mają nic wspólnego z pierwowzorem. Za to z dumą piszą sobie w rozbuchanych biogramach, jakimi to są tłumaczami. Przeraza to i poraża, bo otrzymany „produkt” nie ma nic wspólnego z oryginałem, a są jakąś dziwną kompilacją tekstu oryginału z tym, co też wymyślają ci pseudo-tłumacze.

Czy istnieje jakikolwiek sposób, by powścią tamę powodzi mizernych tłumaczeń? Są różne pomysły, ale większość z nich, to po prostu pobożne życzenia.

Oczywiście oprócz kija istnieje także marchewka. W Polsce mamy aż cztery doroczne nagrody za przekłady. Być może media powinny promować najlepsze przekłady i wskazywać na wybitnych tłumaczy. Tłumaczenie to bardzo odpowiedzialne zajęcie i wreszcie powinno być doceniane. Ale dopóki będzie liczyła się tylko wysokość sprzedanego nakładu lub zaspokajanie swoich próżności, dopóty nie można liczyć na doskonałe tłumaczenia dawnych mistrzów, jak choćby Tadeusza Żeleńskiego „Boya” czy Macieja Słomczyńskiego.